

# Wielka sława to żart

**Ejże! Zaprzeczeniem tych słów ze znanej operetki Johana Straussa „Baron Cygański” jest ANNA DYMNA. Kobieta ponad czterdziestoletnia, aktorka dużej klasy, obsypana licznymi nagrodami, według przyjaciół, jak wietrzną ospą. Dochodziła do sławy drogą wcale nie uslaną różami. Odwrotnie! Po grudach pokonywanych w życiu prywatnym, które przecież rzutują na wizerunek człowieka. Artystka potraktowała swoją profesję absolutnie poważnie. W każdej roli jest prawdziwa, bo każdą wcześniej długo studiuje, zgłębia, poznaje charakter i psychikę postaci, w którą się wciela.**

Zadebiutowała na scenie, mając zaledwie 18 lat (była na pierwszym roku studiów). Zagrała podwójną rolę: Isi i Chochoła w „Weselu” Wyspiańskiego. Wtedy chyba jeden jedyny raz nie przejmowała się występem. Jak teraz wyznaje, widownia mało ją interesowała. Była raczej speszona starszymi koleżankami, z którymi spotkała się na scenicznych deskach – z Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Katarzyną Meyer.

Później, kiedy występowała w „Nocy listopadowej” – spektaklu wyreżyserowanym przez Andrzeja Wajdę, obserwowała za kulisami Zofię Jaroszewską. Ta doświadczona aktorka dosłownie trzęsa się ze strachu, nie mogąc opowiadać tremy. Zdziwionej Ani tłumaczyła: – *Zobaczysz, mała, jaką będziesz przeżywać tremę po latach, kiedy wydorosłesz. Z wiekiem wzrasta odpowiedzialność, publiczność coraz więcej od nas wymaga.*

Święte słowa! To pouczenie wypowiedziane przez osobę dużo starszą przyświeca do dziś mojej bohaterce. Kiedyś grała podfruwajki, naiwne idiotki, alkoholiczki, powabne kobieciątka. Później przeszedł czas na królewskie role. Zawsze potrafi się zmierzyć z teatralną czy filmową materią, pamiętając o drugiej stronie rampy – o publiczności. Wczuwa się w jej reakcje, słyszy każdy szelest uznania, cieszy się dowodami sympatii.

Trzeba mieć niepospolity hart ducha, wielką osobowość i umiejętność koncentracji, by grać. I to jak! Szczególnie wtedy, kiedy w sercu kotłują się osobiste tragedie, które nie oszczędzały młodej aktorki. W wieku 27 lat została wdową. Odszedł na zawsze Wiesław Dymny – jej szalona, młodzieńcza miłość. Mąż, który ją ukształtował jako artystkę, bo sam był wielkim filarem krakowskiej bohemy, a głównie kabaretu „Piwnicy Pód Baranami”.

Aktorka tak dziś wspomina tego niezwykłego człowieka:

**– Nauczył mnie żyć** *być aktorką i normalną kobietą. Powtarzał: – Wybij sobie z głowy, że jesteś wielką artystką. Musisz pracować, gotować, sprzątać, jak inne kobiety. I tak już pozostało. Żadnej pracy domowej się nie boję.*

Po śmierci Wiesia, jak zdrobniała o nim mówi pani Ania, wpadła w pustkę i głuszę. Była kompletnie zagubiona, tym bardziej że wcześniej pożar pochłonął ich wspólne mieszkanie na strychu, gdzie było wiele mebli skonstruowanych przez Dymnego i około 80 doniczek różnych kwiatów.



**W domowych pieleszach**

Postanowiła się nie poddawać. Miała podpisane kontrakty filmowe, z których, mimo wszystko, chciała się wywiązać. Wkrótce jechała samochodem na zdjęcia do Budapesztu. Oczekiwał ją tam znany węgierski reżyser Miklós Jancsó. Nie dojechała! Młody kierowca, kompletnie wyczerpany nocną jazdą, przysnął i samochód uderzył w słup. Połamane żebra, uszkodzenie kręgosłupa, poważny wstrząs mózgu, naderwany palec prawej ręki.

– *Po raz któryś* – zwierza się moja rozmówczyni –

**wydawało mi się, że umieram**

Leżąc w węgierskim szpitalu, zrozumiała, że człowiek naprawdę zagrożony stara się wszelkimi sposobami wrócić do życia. I ona, wbrew wszelkiej logice i medycznemu przesłankom, wróciła. Tak zresztą powracała jeszcze kilka razy. Bo czarna seria wcale jej nie opuszczała. Kiedy miała grać Marysienkę w dokumentalnym filmie telewizyjnym „Na odsiecz Wiedniowi”, trzeba było dokręcić jeszcze kilka scen. I to szybko. Przystano po nią samochód z wytrawnym kierowcą, bo wszyscy wiedzieli, że aktorka niesamowicie boi się jazdy „czterema kółkami”. A jednak... wpadli w poślizg. Artystka znów została poturbowana.

Koledzy z Teatru Starego, w którym pracuje ponad 20 lat, chcąc ją wyciągnąć z psychicznego dolka,

usiłowali bagatelizować pecha, który ją prześladował. Słyszac karetkę na sygnale, zastanawiali się: Czy to Dymna miała znów wypadek? A jadąc na występy za granicę pytali nieśmiało: – Ania, którym autokarem jedziesz? Aha, pierwszym, to my na wszelki wypadek drugim.

Anna Dymna cały czas udowodniała, że potrafi udźwignąć każdą rolę. Tym bardziej że życie jej zaczynało być gładziej, spokojniejszej. Nabrało nowego blasku. Reżyser Janusz Majewski zaproponował jej odtworzenie niezwyklej postaci – Barbary Radziwiłłówny w serialu „Królowa Bona”. Pamiętamy tę piękną, a zarazem tragiczną kobietę w wykonaniu Anny Dymnej. Ale chyba nie wszyscy wiedzą, że na planie, kiedy jechała zabytkową karetką ze swoim ukochanym królem Zygmuntem (Jerzym Zelnikiem), stangret tak energicznie podciął konie, że zaprzęg przejechał przez las i znalazł się na szosie, między autobusami. Dymną przenieśli do pobliskiej restauracji i wezwali pogotowie. Lekarz stwierdził „tylko” kontuzję karku i wstrząs mózgu. Wystarczy!

Rozpoczęła rehabilitację pokiereszowanego organizmu, poza basenem i ćwiczeniami poddała się też masażom. Na koniec wyszło z tego, że uległa urokowi młodego masażysty, z którym wzięła ślub. Małżeństwo jednak szybko rozpadło się. Pozostało z tego związku coś najbardziej dla niej wartościowego – syn Michał. Dziś 12-letni chłopiec.

Na moje pytanie, czy jest dumny z tak sławnej mamy, chłopiec odpowiada szczerze: – *Tak, bo często przychodzi na boisko, kiedy rozgrywam mecze piłkarskie.*

Zbliża się wiecór. Pani Ania przypomina synowi, by odrobił lekcje. – *Przed snem będę ci czytać „Historię żółtej ciżemki”... I całuje go w nosek.*

Dziecko stało się panaceum na całe zło.

**– To najważniejszy mężczyzna w moim życiu**

– wyznaje artystka. – *Obserwuję go jak roślinę, jak mądrzeje, mogę kształtować jego charakter. Sama. Bez pomocy niań czy opiekunek.*

Wreszcie opuściła ją przeklęte fatum. Potrafiła opanować cierpienia. A drobne dolegliwości? Powia-



**Z najważniejszym mężczyzną swego życia**



**Kochają ją krakowscy kwiaciarze i kwiaciarki**

da z uśmiechem i charakterystycznym w oczach chochlikiem: – *Nauczyłam się odkładać choroby na później. Najlepiej na okres wakacji. Ostatnio trzy dni z rzędu grałam w teatrze z temperaturą 39 stopni. Nikt tego nie zauważył.*

Paradoksalnie ciężkie przeżycia zahartowały moją bohaterkę. Zdaje sobie sprawę z tego, że chory aktor nie liczy się w tym zawodzie. Dla niego przeznaczona jest lawka rezerwowa.

Po urodzeniu dziecka zmieniała się fizycznie. Sporo przytyła. – *Straciłam dawną widownię, która uwielbiała mój sami krok, urodę, wdzięk. Ludzie mieli do mnie pretensje. Nawet nie lubili mnie, bo*

**stałam się gruba**

*Ale zyskałam nowych fanów, których wysoko cenię.*

Dalej moja rozmówczyni dowodzi, że z jej doświadczenia wynika, iż 70 proc. widzów zachwyca się przede wszystkim aparycją aktorki, która przez jakiś czas przystania profesjonalizm.

Twierdzi, że przyświeca jej dobra gwiazda. Bo kiedy obrosła w kilogramy, znany reżyser Kazimierz Kutz, kiedy ją zobaczył, wykrzyknął: – *No Aniu, wreszcie masz pupę, duże cyce, jesteś prawdziwą babą.* I obsadził ją natychmiast w „Opowieściach Hollywoodu”.

Ostatnio na promocji książki Anny Dymnej Kutz powiedział: – *Gdyby Ania żyła 2 tysiące lat temu, to niezależnie od płci byłaby apostołem. Bo jest w niej coś świętego. Ona jest piękna nie tylko od zewnątrz, ale głównie od wewnątrz.*

I dalej ten dowcipny reżyser wspomina, że kiedyś przed laty zobaczył w łódzkim studiu Anię. Była tak zjawiskowo piękna, że zwałała z nóg. Zbliżył się do niej, ale natychmiast podbiegł Dymny, jego wieloletni przyjaciel, i energicznie go odepchnął. Był cholernie zazdrosny o swą uroczą małżonkę.

Anna Dymna zaczęła grać dojrzałe wiekiem postaci. Zaczęła od Lavinii w sztuce „Żaloba przystoi Elektry” Eugene’a O’Neilla, potem zagrała Małgorzatę w „Mistrzu i Małgorzacie” Bulhakowa, później Rachelę w przedstawieniu „Wedle wyroków twoich” w reżyserii Jerzego Hoffmana. Trudno wymienić wszystkie role, bo wcielała się w ponad 160 postaci.

**Dobry duch czuwa nad panią Anią**

Przyszło jej pracować pod kierunkiem najznakomitszych reżyserów: najpierw Lidii Zamkow, później m.in. Sylwestra Chęcińskiego, Tadeusza Konwickiego, Konrada Swinarskiego, Barbary Sas, Jerzego Grzegorzewskiego, Gustawa Holoubka, Jerzego Jarockiego. Grała u boku wielkich aktorów, że wymienię Jerzego Bińczyckiego, Władysława Hańczę, Jerzego Tręłę, Jana Nowickiego, Jerzego Stuhra, a także razem z Anną Radwan, Elżbietą Karkoszką.

Po każdym występie szybko wraca do domu. Oczekują ją tam Michał i mąż, reżyser w warszawskiej Wyższej Szkole Teatralnej.

Pani Ania jest też profesorem w krakowskiej szkole teatralnej (w tym miejscu szelmowsko uśmiecha się pytając, czy sobie ją wyobrażam w tej roli?). Swoim studentom dowodzi, że w życiu aktora liczy się przede wszystkim publiczność. Ma tego świadomość. Zresztą i na odwrot – moją rozmówczynię kocha cały Kraków. A szczególnie kwiaciarki i kwiaciarze. Przekonałam się o tym osobiście. Zaproszona przez moją rozmówczynię na spektakl „Ludzkość w obłędzie” Stanisława Witkatego, kupiłam pod Sukiennicami kwiaty. Sprzedający gdy się dowiedział, dla kogo są przeznaczone, krzyknął do kolegi: – *Janek, pani kupuje kwiaty dla naszej Ani. Proszę powiedzieć, że ją uwielbiamy. W ogóle my, kwiaciarze, kochamy artystów. Trzymamy z nimi sztamę.*

Od tej artystki emanuje ciepło, dobroć, serdeczność. Chyba dlatego dostaje mnóstwo listów od ludzi zupełnie jej nie znanych. Wypowiada ją słowa podziwu po każdej zagranej przez nią roli. Ale nie tylko. Piszą więźniowie, schizofrenicy, ludzie biedni. Jakaś adresatka prosi, by „gwiazda przysłała jej sweterek, koniecznie w kolorze niebieskim”, inna w ubiegłym roku załączyła rachunek, by pani Ania wpłaciła za nią 34 mln zł za zaległy czynsz, jakiś zwirowany facet donosi, iż jest przekonany, że artystka kocha się w nim, ale wołała być sławna i dlatego nie chce go znać. Dla Anny Dymnej zdobyta sława to nie był żaden żart.

**Barbara Mierzejewska**